

Wywiad z Profesorem Zbigniewem Tadeuszem Wierzbickim przeprowadzony przez Michała Łuczewskiego Interview with Professor Zbigniew Tadeusz Wierzbicki by Michał Łuczewski

M. Łuczewski: *Wszystko przez Ossowskiego?*

Z.T. Wierzbicki: Przez Ossowskiego, tak. Ossowski pojechał do Żmiącej z ekipą socjologiczną na pięćdziesięciolecie książki Franciszka Bujaka pt. *Żmiąca. Wiś powiatu limanowskiego. Stosunki gospodarcze i społeczne*. I on wpadł na pomysł. On rzucił tę inicjatywę, żeby napisać kolejną książkę o Żmiącej. On albo Stefan Nowakowski, bo potem mówił mi Nowakowski, że to nie Ossowski, tylko on. Ale wie pan, zawsze jak jest jakiś dobry pomysł, to autorów wielu. Więc wszystko jedno. W każdym razie mnie Ossowski tam skierował. Choć byłem wolontariuszem w jego seminarium i nie byłem z nim związany etatowo, on mi dał pierwsze zaświadczenie w 1952 roku jeszcze jako profesor Uniwersytetu Warszawskiego, że prowadzę badania socjologiczne. Ale potem Ossowskiego po roku czy dwóch usunięto i ja już robiłem właściwie te badania sam, na własną rękę, za własne pieniądze.

M. Łuczewski: *Zaczął pisać Pan Profesor książkę z dyscypliny, którą właśnie zlikwidowano na uniwersytetach i która mogła na nie w ogóle nigdy nie powrócić.*

Z.T. Wierzbicki: Chciałem iść drogą naukową, a nie miałem stałej pracy, bo politycznie byłem źle widziany. Nie w tym stopniu, żeby mnie aresztowali, ale mnie zwalniali. Jak wykładałem w Akademii Ekonomicznej w Poznaniu, to po pewnym czasie mnie zwolnili, bo działałem we wrocławskim oddziale Polskiego Związku Zachodniego. Broniełem autochtonów i ujawniałem różne nadużycia, których dopuszczała się Polska Partia Robotnicza i Ministerstwo Ziem Odzyskanych na tych terenach. Moje raporty trafiały do centrali Polskiego Związku Zachodniego

Dr hab. Michał Łuczewski, Instytut Socjologii UW, Zakład Metodologii Badań Socjologicznych, ul. Karowa 18, 00-927 Warszawa, luczewskim@is.uw.edu.pl, ORCID: 0000-0001-6126-8869.

Wywiad odbył się w Warszawie w mieszkaniu Profesora Zbigniewa T. Wierzbickiego.

w Poznaniu, ale ci idioci posyłali je później do dyrekcji Ministerstwa Ziemi Odzyskanych, żeby wiedziała o nadużyciach, jakie ich urzędnicy popełniają. Więc oni mieli dokumenty w ręku, że ja prowadzę taką robotę. I odgrazali się publicznie, że wbiją mi gwóźdź do trumny. Kiedy jeden z nich dowiedział się, że wykładam na Akademii Ekonomicznej, zażądał od rektora, żeby mnie zwolnili. No więc miałem takie trudności. Bez możliwości zaczepienia chciałem ten czas jakoś wykorzystać.

M. Łuczewski: *Przyszła wreszcie odwilż.*

Z.T. Wierzbicki: W 1956 roku książka była na ukończeniu. Moje badania bardzo mi się wtedy przydały. Dzięki Żmiącej znalazłem pracę najpierw w Łodzi, a potem w Instytucie Filozofii i Socjologii Polskiej Akademii Nauk. W 1956 roku zgłosiłem się do Józefa Chałasińskiego z referatem o awansie społecznym przez szkołę na przykładzie Żmiącej. To go interesowało. Kiedy wygłosiłem referat, zaraz zaproponował mi posadę adiunkta u siebie w Zakładzie Kultury Materialnej. Różnie było, ale w każdym razie miałem u Chałasińskiego spokój. On bronił swoich pracowników, bo też były takie stosunki za PRL-u, że jak się miało takiego protektora, który był politycznie pewny czy dobrze widziany, to on sobie bezpiecznie siedział, a nawet mówił czasami coś nieprawomyślnego. Ale jak się ten szef naraził w jakiś sposób, to od razu stawał się czarną owcą i bili po głowie wszystkich jego współpracowników. Chałasiński umiejętnie lawirował. On z jednej strony polemizował z Schaffem, a z drugiej był rektorem Uniwersytetu Łódzkiego. Partia wysłała go nawet w delegacji do Stalina. To było zabawne, zresztą sam o tym opowiadał, kiedy na lotnisku okazało się, że wszyscy członkowie delegacji byli niscy. O to chodziło! Żeby żaden nie był wyższy od Stalina!

M. Łuczewski: *Jak wyglądała Pana praca terenowa?*

Z.T. Wierzbicki: Na początku ludzie byli nieufni, ale się nie dziwię. Raz jak wyszedłem gdzieś na badanie, sprawdzali moje dokumenty, czy czasami nie znajdują tam jakiejś legitymacji z UB. Bo przecież tam była antykomunistyczna partyzantka do 1953 czy 1954 roku. Miejscowi akowcy uważali, że przetrwają po wojnie w lesie w oparciu o swoją wieś. To były chłopaki wiejskie, które świata nie znały, które źle się czuły w świecie, a tutaj w swojej wsi, w okolicy, czuły się dobrze i liczyły na solidarność wiejską, która była bardzo duża. Chłopi byli bici często przez UB, żeby powiedzieli, gdzie ukrywają się partyzanci, rewidowani, szykanowani w różny sposób, zresztą trudno o tym wszystkim mówić... Z drugiej strony chodziło za mną UB z Limanowej. Jeden z nich stwierdził, że zaświadczenie Ossowskiego jest już nieważne, choć manipulowałem dokumentem cały czas, licząc na to, że nikt tej daty nie dostrzeże. Ale dla UB ważne było nie tyle oficjalne zaświadczenie, ile informacje miejscowych agentów. Pamiętam, jak wszedłem do domu jednego z nich, to akurat leżał rozwalony, bo nie pracował, jak to ormowiec, trochę podkładał drzewo z lasu, moralnie nieciekawym. I siedział jakiś typ u niego na łóżku i coś szeptał, w ogóle

wyglądał raczej na agenciaka takiego, gęba bardzo nieciekawa, w berecie. Więc jak wszedłem, ormowiec się nachylił do niego i zaczął informować, kto to ja jestem. No i mnie zaraz milicja zatrzymała. Jakoś się to udało... Raz tylko mnie przesłuchali i dali mi spokój. Ja tam z tymi ormowcami dosyć dobrze żyłem. A oni później dali zapewnienie, że nie jestem nikim groźnym, że tylko chodzę po wsi i pytam o to, o tamto, o różne głupociny. Ludzie się wreszcie do mnie przekonali.

M. Łuczewski: *Co Panu pomagało w przełamaniu nieufności?*

Z.T. Wierzbicki: Miałem tę metodę, że początkowo pytałem o miłość, mity, legendy, o różne etnograficzne rzeczy itd. Potem dopiero zacząłem pytać o sprawy gospodarcze, o historię. To było najciekawsze. No i była książka Bujaka. Pokazywałem, że piszę drugą książkę, która ma wykazać, co się we wsi stało, jakie zmiany miały miejsce, jaki był rozwój wsi. To rozumieli. Bujak dlatego wziął Żmiącę, bo chciał pokazać wieś, gdzie była zasada niedziału, według której ziemię otrzymywał syn najstarszy albo najmłodszy, ale ostatnio to najstarszy. A reszta to albo tam na krańcach małe działki dostawała, żeby coś tam mieli na utrzymanie, jakąś chałupkę i to, albo jechali w świat. Ta zasada utrzymała się i uczyniła wieś względnie zamożną. A dlaczego trzymali się zasady niedziału? Żeby nie robić dziadów, jak mówili. Bo to będzie dziadówka, tak jak w całej Galicji. Jak Austriacy wprowadzili ustawę po zniesieniu pańszczyzny i uwłaszczeniu chłopów, że jest podział gruntu sprawiedliwie między dzieci, no to zaczęło się dzielenie. I mieliśmy gospodarstwa karłowate, i nędzę galicyjską, przysłowiową nędzę galicyjską. Pozostawała tylko emigracja albo praca w fabrykach, ale fabryk nie było. Bujak pochlebnie się wyraża o Żmiącej, z pewnym szacunkiem, o pracowitości mieszkańców, o ich trybie życia, jak na te warunki, które były. Na czym się ta wieś wzbogaciła? Na sadach i na hodowli wołów. Tak że to nie jest typowa galicyjska wieś. To jest inna już wieś niż ta normalna, chociaż w Galicji oczywiście położona.

M. Łuczewski: *A kto Pana Profesora wprowadzał do wsi?*

Z.T. Wierzbicki: Miałem potem poparcie nauczycieli, kierowniczkę szkoły, Anny Oleksy. To było ważne.

M. Łuczewski: *Zdążyłem ją jeszcze poznać.*

Z.T. Wierzbicki: Niedawno zmarła niestety. Była bardzo rozsądną osobą; chłodna, racjonalna, właśnie nieemocjonalna. Jak się z nią mówiło, to potrafiła spokojnie zastanowić się, nie spiesząc się, i potem pokazać sprawę z jednej strony i z drugiej, miała takie trafne, obiektywne opinie. I ona rzeczywiście dużo mi pomogła. Ja szkole też dostarczałem różnych rzeczy, starałem się iść na rękę, jeśli czegoś ta szkoła potrzebowała. Pan jesteś u Bukowca na Kowalówce?

M. Łuczewski: *Tak.*

Z.T. Wierzbicki: Ona pochodziła od Sośnioka, który jest niedaleko, bardzo ciekawy dom małego gospodarza, który właśnie to kupił, powiększył, i który kształcił

dzieci. Siostra Hanki, Zofia, była dyrektorką gimnazjum w Ujanowicach po wojnie i nauczycielką w Sączu. Druga była wykwalifikowaną pielęgniarką. A Hanka była kierowniczką szkoły w Żmiącej po wojnie już. Wszystko się dokonywało w ten sposób, że ktoś pierwszy musiał się wydostać z tej, powiedzmy, biedy. To były wszystko uświadomione patriotki, oczywiście, to były i katoliczki, i patriotki. Jedno z drugim bardzo silnie się wiązało. Zresztą tę Zofię Oleksy obecny proboszcz ksiądz Trela chce zrobić błogosławioną, zbiera dokumenty. Trudno mi powiedzieć, czy jest to możliwe, czy nie, ale w każdym razie to była postać ciekawa, oddana nauczycielstwu bardzo wyraźnie, ideowa, pracująca.

No a potem ułożyłem sobie jakoś stosunki z proboszczem Bernardynem Dziedziakiem z pobliskich Ujanowic. Na początku też był trochę podejrzliwy, ale potem się jakoś przekonał. Chyba nawet go prosiłem, żeby z ambony ogłosił takie słowa (teraz nie pamiętam, czy on to zrobił, czy nie), żeby w rozmowach ze mną nie bać się mówić otwarcie. Chyba tak, chyba raz to ogłosił. W każdym razie nie występował przeciwko mnie. Oczywiście ja sam chodziłem na nabożeństwa i na wszystkie uroczystości. Nie miał tutaj jakichś zastrzeżeń. Jego pytałem o historię i owszem chętnie udzielał odpowiedzi, muszę powiedzieć, że życzliwie. Był bardzo zajęty, ale tak życzliwie się odnosił.

A to była pewna indywidualność, ja może kiedyś napiszę o nim w „Buncie Młodych” takie wspomnienie o nim, bo to była ciekawa postać. To był taki twardy człowiek, on sam pochodził z takiej rodziny. Był niewątpliwie ortodoksyjnym katolikiem. Twardym, ortodoksyjnym katolikiem, który dobrze pasował do tej wsi. On miał dość tradycyjne podejście, to już nie jest na dzisiaj, powiedzmy, w kwestiach alkoholizmu. W Poznaniu wydawałem czasopismo „Zdrowie i Trzeźwość”, w którym zajmowałem się tym problemem, więc mieliśmy wspólny język, ale on miał tutaj właśnie bardzo tradycyjne podejście. To znaczy traktował pijaństwo jako plagę moralną, którą należy potępiać, nawet publicznie, więc – tak uważał – potrzebna jest na przykład modlitwa w kościele za pijaków, którzy nie chcą rzucić nałogu. A to odrzucało tych pijaków od Kościoła. Dzisiaj alkoholizm traktuje się jak chorobę i stara się ich przyciągnąć. Pozbawia się ich tej skazy moralnej, tylko uważa się, że pijaństwo ma charakter kulturowy, obyczajowy, z tym trzeba walczyć, ograniczać obyczaj picia, ale jak ktoś wpadnie w nałóg, to nie ma sensu go potępiać, tylko trzeba go traktować jako człowieka chorego, który musi poddać się terapii. I on tego nie bardzo rozumiał, bo to była tradycyjna szkoła, powiedzmy, Armii Zbawienia, angielska, właściwie amerykańska, czy też tych naszych ruchów trzeźwościowych, gdzie się do tego pijaństwa, tych pijaków odnoszono inaczej. Czasami to pomagało, ale rzadko. Raczej oni właśnie pili jeszcze więcej, żeby się pocieszyć. Więc to nie była taka prosta sprawa.

Proboszcz jednocześnie miał zmysł społeczny. Popierał akcje społeczne, Akcję Katolicką, Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży, mleczarnię przed wojną zorganizowaną. Popierał ruch spółdzielczy. On to rozumiał. Nie wszystko mu się tam udawało, bo był zanadto arbitralny. To nie był Bliziński z Liskowa, który zaczął od rozwijania samych chłopów, posyłania ich na różne kursy i tworzenia razem z nimi instytucji. On za dużo sam robił i narzucał swoją wolę. Więc to nie szło tak dobrze. Miał też takie ładne gesty. Jak chodził po kolędzie na przykład – przynajmniej o jednym takim przypadku wiem z całą pewnością – to pieniądze zebrane przeznaczył na ochronkę dla dzieci w Ujanowicach, odczytując to z ambony, że zebrał na kolędzie tyle i tyle pieniędzy. A we wsi kolęda to wiadomo, bardzo poważnie ją traktowano. Każdy uważał, że ksiądz trzeba przyjąć, porozmawiać, trzeba coś dać, a ksiądz dla siebie zwykle zbierał.

M. Łuczewski: *A jaki był wpływ ks. Dziedziaka na wieś, bo do tej pory wszyscy jego postać wspominają? W Ujanowicach pracował chyba przez pół wieku.*

Z.T. Wierzbicki: Tam w ogóle była dynastia proboszczów bardzo ciekawych, bo tam był... Głębiński chyba się nazywał albo Gołębiowski, nie pamiętam, który gospodarczo podnosił wieś, bo jak chrzczył dzieci, to domagał się, aby sadzili drzewko owocowe. I tam się rozwinęły bardzo pięknie sady. Tam jest przecież szczególnie rodzaj wiśni, nawet w nomenklaturze oficjalnej w SGGW się to określa jako „wiśnia zmiącką”. A więc to był ten jeden. Potem był Ernest Christ z pochodzenia Niemiec, ale bardzo spolonizowany, bardzo duży autorytet, bardzo surowy, rzetelny, uczciwy, który prowadził tę robotę społeczną i narodową. I wreszcie Bernard Dziedziak, który od czasów przedwojennych rzeczywiście wykonał dużą robotę społeczną, a potem, jak przyszła komuna, to zaczęła się walka. Nazywali go „czarny pies z Ujanowic”. Bardzo trzymał wieś w dyscyplinie, w takiej postawie nieprzejednanej, twardej. Tam do 1956 roku to nikt się nie chciał przyznać, że był w PZPR czy w PPR (PZPR chyba nie było). Nikt nie chciał się przyznać, bał się, bo taka była opinia. Dopiero po 1956 roku, jak była odwilż, to się dwie osoby przyznały, że są w partii. Wcześniej się nie przyznawały, bo się wstydzili, bo się bały opinii, opinii raczej niż partyzantki, bo partyzantki już nie było. A po 1956 tłumaczyli to różnymi względami, że jest to np. gajowy, więc inaczej to by posadki nie miał, czy że jest dróżnikiem – po prostu lawirowali między społecznością a partią, nie szkodząc tej społeczności. Oni nie mogli zrozumieć tego, że się walczy z Kościołem. Co to komu szkodzi – takie rozumowanie – co to komu szkodzi nauka Kościoła: żeby być dobrym, żeby nie kraść, nie cudzołożyć itd.? To znaczy oni ujmowali Kościół w kategoriach, powiedzmy, moralno-personalnych, ale nie politycznych – nie widzieli w nim instytucji, która była dla partii z tych czy innych powodów groźna czy niewygodna. Oni tego nie pojmowali, nie rozumieli. Nawet ormowiec, osobiście sympatyczny chłopak, on też mi to tłumaczył. – O co chodzi, dlaczego walczy się z Kościołem? przecież Kościół

złego nie chce, chce, żeby ludzie lepsi byli. Tak że, widzi pan, to było zupełnie inne podejście niż to podejście partyjne.

Ponieważ Dziedziak był nieustraszony, no to jego w różny sposób szykanowano. Próbowali go skaptować. Ciągłe robiono tam rewizje, najazdy, posądzono go o to, że popiera partyzantów. Zresztą on i jego wikary, Jan Nowak, w umówionych miejscach spotykali się z partyzantami, bo ich spowiadali. Ale zachęcali ich do tego, żeby się ujawnili. W każdym razie zachęcał ich bardzo ks. Nowak, z którym rozmawiałem w Nowym Sączu. To on im tłumaczył, ale oni się bali.

Raz wszystkich tych duchownych pod przewodnictwem Dziedziaka, który wtedy był już dziekanem, zawieźli do Limanowej. Przyszli autobus, zawieźli tam na przyjęcie, chcieli bankiet zrobić w Urzędzie Bezpieczeństwa, żeby ich zachęcić do współpracy, to znaczy przekonać ich do Polski Ludowej. Bo tam była ciągle partyzantka, a oni chcieli z tymi lasami mieć już spokój. Warszawa ich naciskała, więc chcieli się wykazać, że przecież nie ma już tamtych „bandytów”, więc przeszli do pozyskiwania księży. A wtedy dziekan wystąpił od razu, zdecydowanie: „żadnych tu nie ma możliwości współpracy”. Od razu odmówił. I oni wściekli się oczywiście, nic z tego przyjęcia nie wyszło, a księży wypuścili, nie aresztowali wprawdzie, bo się bali, tylko piechotą księża musieli wracać do Ujanowic, do tych wsi. I było tak, jak mi opowiadali ludzie: korowód duchownych szosą idących po południu, po zebraniu, pieszo.

To była rzecz niezwykła, bo tam duchownego, to się woziło przecież, gdzie on tam by pieszo chodził! To była przecież ważna figura, to się po niego posyłało. Prawda, że w czasach PRL-u już było gorzej, bo już musieli sami chłopci dawać kolejno jakąś podwózkę, bo ksiądz nie miał na to ani pieniędzy, ani bryczki, ani koni, żeby samemu podjechać. Już sam musiał pracować. Tak jak mówili mi chłopci nieraz, te niektóre kobiety, że to PRL dopiero upokorzył księży. To dopiero komuniści zrobili, bo ksiądz przedtem to była święta osoba. Jeszcze w dwudziestoleciu, jak przyszedł, to matka mówiła do niego „księżu”, jakoś nie po imieniu, bo uważała, że to osoba duchowna, to należy jej się szacunek. Całowali go w rękę. Oczywiście to już w dwudziestoleciu zanikało, bo zaczęli się trochę śmiać w młodszym pokoleniu, żeby całować w rękę księdza. W czasie wojny to się jeszcze wciąż utrzymywało, bo to jednak był ten wspólny front: Kościół i naród. A po II Rzeczypospolitej, po wojnie, w PRL-u zanikło zupełnie, no chyba gdzieś kobiety jakieś, może starsze. Sami księża nie chcieli. Ale były takie przypadki. Młody kleryk, przyjechał z seminarium – całują w rękę. To był taki jakiś fenomen zadziwiający. Cały szereg tych obyczajów różnych, religijnych, o takim bardzo mitycznym, mistycznym właściwie charakterze, to przez długi czas się utrzymywało w Żmiącej. W książce jest rozdział taki napisany przez etnografów.

M. Łuczewski: *Pana Profesora najbardziej interesowało to, czym w tamtym czasie nie mógł się Pan zająć: partyzantka antykomunistyczna i jej wpływ na życie wsi.*

W swojej monografii pisał Pan enigmatycznie: „Lata te, a można je śmiało nazwać latami trudnymi i burzliwymi, oczekują swego historyka”.

Z.T. Wierzbicki: To są wszystko rzeczy bardzo złożone. Będzie miał pan ciekawy bardzo temat, ale problem nie taki łatwy, bo jeżeli pan będzie chciał to przedstawić w sposób bezstronny, to będzie musiał powiedzieć nie tylko o trwającej u większości legendzie partyzantki, ale także o tej cichej opozycji wobec partyzantki. Jak pan będzie rozmawiał z ludźmi Kościoła, to oni właśnie będą zajmować stanowisko po stronie tej partyzantki. Bo to była walka i jednocześnie obrona w pewnym sensie Kościoła. Oni chcieli bronić tego Kościoła, a ten Kościół był w Ujanowicach rzeczywiście prześladowany, dyskryminowany.

Ta partyzantka zawsze miała dwie strony, dwa oblicza. Mówiłem, że solidarność wsi była bardzo duża, ale znalazło się dwóch ludzi, którzy zostali przekupieni w jakiś sposób. Ale to były jakieś przypadki szczególne. Tragiczne zresztą, ale szczególne przypadki. Jeden z tych młodych partyzantów, Witold Bukowiec, uciekał po wojnie po lasach. W bunkrze się chowali. I tak po kolei UB wszystkich wybiło. On któregoś dnia zachorował i poszedł na noc do gospodarstwa rodziców. Przebrał się za kobietę i położył na sianie w stodole. Ale znalazł się zazdrosny S. Za godzinę przybiegł już jakiś milicjant, narobił rabanu przed domem, strzelił w powietrze, przestraszony Witek wybiegł ze stodoły, a milicjant, nawet się nie zastanawiając, strzelił mu w pierś. Gdy matka jego przerażona wyszła z domu, ten zapytał się jej dopiero, do kogo strzelił. – Do mojego syna! Do syna! Syna mi zabiłeś! – Wzięła go na ręce i zaniósła do izby, tam go położyła. Za kilka chwil pojawił się milicjant, wrzeszcząc: – Pokaż mi bandyto, gdzie jest Twoja broń! – Tu jest. – I drżącymi rękoma wyciągnął zakrwawiony różaniec. – Tu jest, ty skurw... – Synku, nie mów tak. Wybacz! Jezus na krzyżu wybaczył swoim oprawcom, wybacz. – Przepraszam, nie mogę mówić. Proszę pana, taka scena to jedynie dla pędzla malarza lub pióra poety. Ten, który wydał Witka Bukowca, to właśnie do niego przyszli partyzanci i jego pobili. Dali mu w skórę. To była taka metoda jeszcze z konspiracji niemieckiej, że albo bili, albo golili kobiety, jeżeli utrzymywały kontakty. Tutaj nie golili, bo to miał być taki podtekst seksualny, a w Żmiącej by to nie przeszło. Ale dawali po mordzie, kopali, bili, to nie było tak, żeby on do szpitala mógł pójść. Ale w każdym razie to było duże upokorzenie i zniewaga. A to są ludzie wszyscy honorni. O honor bardzo dbają swój, no więc o to pretensja. A każdy jest z jakąś rodziną powiązany, każdy ma bliższą rodzinę, która oczywiście bierze jego stronę.

Czarna, mniejszościowa legenda partyzantki powstała na skutek błędów tych młodych, którzy stosowali te metody, które były wtedy w tej partyzantce antykomunistycznej stosowane, które nie miały według mnie sensu, ale to inna sprawa. Więc to zrobiło wiele złej krwi. Oni rzeczywiście na niektórych robili napady: jak ktoś wyrażał tendencje prorządowe (trudno powiedzieć prokomunistyczne,

oczywiście do komunizmu to było daleko, ale prorządowe) albo chciał się zapisać do partii. W paru przypadkach – przynajmniej ja znam takie dwa albo trzy – partyzanci przyszli i pobili, znaczy nie zabili, ale pobili tego gospodarza, który zdradzał prorządowe sympatie. Ale oczywiście w takiej wsi, mimo że to było w nocy, i że oni się jakoś tam zakrywali, to oni po głosie domyślali się, kto to jest. I oczywiście mieli do nich pretensje. Mieli pretensje, że tam pobili, bo to dzieci były małe, które płakały, a w jakimś jednym przypadku ktoś strzelił – przypadkowo oczywiście – koło kołyski dziecka, więc matka była przerażona. Niektórzy gospodarze potępiali ich, mówili, że to są bandyci. I jak było to na górze tam. Jak się nazywa ta góra, tam, gdzie postawiono tę kapliczkę ku czci tych pomordowanych akowców?

M. Łuczewski: *Cuprówka*.

Z.T. Wierzbicki: To tam były protesty niektórych gospodarzy. Nie w sposób oficjalny, ale nieoficjalny, nawet mnie chcieli w to wciągnąć, jak tam przyjeżdżałem, żeby pójść do proboszcza i wytłumaczyć jemu, że nie powinien takiej kapliczki stawiać tym akowcom, bo to byli bandyci.

Tam był zresztą jeszcze przypadek partyzanta Władysława Bulandy w jednej wsi obok. Sławny partyzant, którego ubecja nie mogła złapać i którego wreszcie postrzelili w Jaworznej czy gdzieś tam w tych lasach w górach. I on ranny się schronił we wsi u R. A ten R. zawiadomił milicję: on, członek Stronnictwa Ludowego sprzed wojny, żołnierz w Wojsku Polskim, w piechocie. Już jako uświadomiony ludowiec w 1926 roku miał wziąć udział w zamachu majowym po stronie Piłsudskiego, był wtedy w wojsku, w Warszawie, jako szeregowiec. Ale zgłosił się do oficera, że jest zimno i oficer go zwolnił. I on (tak mi opowiadał przynajmniej) sam nie brał udziału w zamachu, a sztandar ludowy, który był u niego, przechował w PRL-u – ten sztandar niezależnego Stronnictwa Ludowego, Witosowego. Przechował go, chociaż oczywiście też się w pewnym sensie narażał, bo był przeciwnikiem rządowego Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego. Ale był moralnie dość giętki – taką miał opinię we wsi. No widzi pan – polityk. Względy polityczne zawsze odgrywają rolę. No więc jak Bulanda się u niego schował, ranny, w łóżku, to jednak zawiadomił milicję. Co mu bardzo we wsi mieli za złe i on też się tego wstydził. Miał na sumieniu, że go wydał. Był oczywiście przeciwko AK i przeciwko tym chłopcom, tym partyzantom, był jakby uczuciowo po tamtej stronie. No i tam, ja nie wiem, chyba z pięćdziesięciu czy sześćdziesięciu tych żołnierzy z Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego przybiegło, otoczyli ten dom, a on nie chciał się poddać. Otoczył się pierzynami, ja nie wiem, jakie to miało znaczenie (że podobno jak się tymi pierzynami otoczył, to się chronił przed tymi zwykłymi kulami karabinowymi), ale go jednak poranili ciężko i go zabrali rannego i go gdzieś tam wykończyli. A w szkole jak były pytania: „Kim chciałbyś być?” – to były odpowiedzi wśród chłopaków: „chcę być Bulandą”. Były takie. Jedni pisali,

że chcieli być emerytem, bo widzieli, że emeryt to jest dobra rzecz, bo emerytura jest. A inni pisali, bardziej tacy bojowi, że chcą być Bulandą. Więc to wszystko pokazuje obraz wsi bardzo zróżnicowany, a jednocześnie przebijający się w jakiś sposób do tej polskości, niezależności.

M. Łuczewski: *Interesuje mnie właśnie rozwój świadomości narodowej na wsi.*

Z.T. Wierzbicki: Jest rozdział w książce o Żmiącej o tym, jak się ta świadomość narodowa rozwijała. Ona się bardzo powoli rozwijała, bo wprawdzie już przed pierwszą wojną światową była tam – nie w samej wsi, ale była – jakaś partia polityczna, to był Związek Chłopski, chyba tak się to nazywało, do którego należało dwóch ludzi ze Żmiącej, m.in. Stanisław Uryga, sołtys. Ale to było bardzo słabiutkie. Dopiero w następnym pokoleniu, które się już kształciło w szkołach, nastąpił przełom. To był zabór austriacki, szkoła nic nie kosztowała, książki też dostawali bezpłatnie, to było bardzo tanie wtedy i bardzo dużo młodzieży chłopskiej kształciło się w szkołach średnich, gimnazjach tak zwanych, w Nowym Sączu, a tylko musieli zapłacić utrzymanie, internat albo bursa, albo u kogoś prywatnie mieszkali, ale poza tym nauka tania była. Więc się kilku kształciło i z tego wyszło dwóch oficerów legionowych: syn Stanisława, Kazimierz Uryga, który został potem kapitanem, i drugi, też ze Żmiącej, ale z osiedla „Zagranica”, czyli blisko Jaworznej. Już nie pamiętam, jaki był tam numer. Też się chyba nazywał Uryga. No, wszystko jedno. I się kształcili, ale to były wyjątki. Z Krosnej to wiem, że był jeden, który zresztą zginął w tej walce z Rosjanami. Krewny Oleksych. W dużym gospodarstwie w tychże „Zagranicach”, jak syn gospodyni (duże gospodarstwo) wstąpił do Legionów, to matka rozpaczała i płakała, że „idzie na stracenie do jakichś tam Legionów” i wycofał się, wypisał. Ale potem go wzięli do wojska austriackiego, ale tu matka nie rozpaczała, bo uważała, że do wojska austriackiego to musi pójść, bo wszyscy szli, bo obowiązek. I uważali wojsko austriackie za swoje wojsko. Jak Rosjanie zajęli Ujanowice i doszli też do Żmiącej (ta pierwsza ofensywa rosyjska, carskich wojsk), to się ludzie w Żmiącej dziwili, że niektórzy Rosjanie mówią po polsku. Bo to byli rekruci z Królestwa. I się dziwili: „jak to, nasi? To tak jak mówią nasi ludzie, po polsku mówią”. W ogóle im się w głowie nie mieściło, że to są też Polacy.

Więc taka była ta świadomość narodowa w pierwszej wojnie. Dopiero po pierwszej wojnie światowej to się powoli zmieniało, dzięki szkole i dzięki wojsku też, oczywiście. I dzięki ruchowi ludowemu, choć to było upolitycznianie i demagogia ten ruch ludowy. Tam był taki Adam Mamak, demagog strasznie głupi. Taki Lepper, który mobilizował ludzi na wiecach. Ale najsilniejszy był jednak Kościół, to znaczy Akcja Katolicka, Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży Męskiej i Żeńskiej. Tam była taka Kasia Pasionek ze Żmiącej, która była przewodniczącą, pół hektara miała, małą chałupkę i była przewodniczącą Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży Żeńskiej. Ja mam jej pamiętnik zresztą, mogę pożyczyć panu. Bardzo piękna postać. Tylko

szkołę powszechną miała, a jaka była rozsądna, mądra. I oni oczywiście tworzyli kult Kościoła, to prawda, ale jednocześnie tam o Polsce się dużo mówiło. Kościół i ksiądz Dziedziak tak działali. Kościół odgrywał niewątpliwie dużą rolę, może największą w tym mimowolnym uświadamianiu narodowym, aczkolwiek traktował to uświadamianie narodowe jako środek dla swoich celów kościelnych, religijnych. Tak jest, Kościół się wspomaga kulturą narodową. Gdyby tego nie robił, to oczywiście jego znaczenie byłoby znacznie mniejsze, zwłaszcza w miastach.

Jeszcze Pan ma jakieś pytanie?

M. Łuczewski: *Jak Pan Profesor ocenia rolę emigracji w rozbudzaniu świadomości narodowej?*

Z.T. Wierzbicki: Już Bujak pisał w swojej książce, że większość przyrostu naturalnego wyjeżdża ze Żmiącej. Emigracja amerykańska, do Stanów Zjednoczonych i do Argentyny (bo to były dwie takie emigracje), to miała na pewno pewien wpływ. Ludzie dopiero wyjeżdżając, zdawali sobie sprawę, że są inni, że są właśnie Polakami. Emigracja do Stanów Zjednoczonych miała jednak wpływ przede wszystkim gospodarczy. A w Argentynie nie natrafiłem na jakiś ślad uświadczenia narodowego, tylko zarobkowy. To nie można tutaj tak przedstawiać tego jak Józef Chałasiński, który widział te przypadki takie wyraźne wpływu amerykańskiego. W Ameryce ja nie natrafiłem na taki bardzo wyraźny ślad tego, bo tam na kilka lat wyjeżdżali i wracali. Wyraźnie nie potrafię powiedzieć. Na pewno się spotykali z organizacjami polskimi. Ale na jakiś taki ślad wyraźny, fakt jakiś, nie natrafiłem. Tak że z tym wpływem amerykańskim to bym był bardzo ostrożny. Był kult Ameryki na pewno. Dolary oczywiście były, w Żmiącej też. Wiadomo, że kto pojechał, to se dokupił tam grunt. Ale niełatwo było dokupić, bo obowiązywała zasada niedziału. Kult niepozabawiony był jednak pewnego krytycyzmu, to była jednak społeczność bardzo zasiedziała, związana z gospodarstwami. Jak mówili: „Europa to dla chłopa, a Ameryka to dla byka”. Tam trzeba mieć zdrowie. To ten Pasionek...

M. Łuczewski: *Z Oślaka?*

Z.T. Wierzbicki: Tak, ojciec Franciszka to mówił: Tam trzeba mieć zdrowie. Nie mówi się o tych, którzy tam zdrowie stracili albo tam umarli, tylko o tych, którzy przyjechali z dolarami i kupili grunt. A tam trzeba było harować. Na Pachówce jest ten Augustyn...

M. Łuczewski: *Zofia Augustyn?*

Z.T. Wierzbicki: Nie, ona nie jest Zofia. Ona jest Augustyn Maria chyba. Nie, zaraz...

M. Łuczewski: *Czy to ta artystka?*

Z.T. Wierzbicki: Tak. Jej dziadek, który był w Ameryce bardzo często, przywiózł pomidory i zasadził je jako pierwszy. I te pomidory jak wyrosły, to ludzie biegli przyglądać się. „Kartofle, które rosły nad ziemią”, tak to nazywali. Nie były znane

pomidory. Zdaje się, że kawę też wprowadzili. Ale w jednym gospodarstwie, jak przyjechał ksiądz i chcieli go uczcić, to tę kawę, te ziarenka kawy ugotowali po prostu. Nie zmielili przedtem. Ugotowali, bo nie znali tego, nikt im tego nie powiedział. Więc gospodarczo, ja sędzę, że tak, że emigracja miała znaczenie. Zięć Augustyna przed wojną zaprowadził pierwszy we wsi wodociąg, wodę bieżącą – sam, samorodny talent. Budował domy i kościół w Jaworznie wybudował. Miał ekipę budowlaną i do dzisiaj mają te ekipy budowlane i jeżdżą po Europie i po Polsce, i zarabiają w ten sposób. To był talent samorodny. Ale te inne takie różne ulepszenia, to na pewno Stany Zjednoczone.

M. Łuczewski: *Jeśli emigracja nie odgrywała roli w uświadomieniu narodowym, to co odgrywało?*

Z.T. Wierzbicki: Bardzo były różne drogi do polskości. Z pamiętników (te szesnaście pamiętników zebrałem) to by wynikało, że część to były przypadkowe rzeczy. Przez literaturę, Sienkiewicza itd. Część w wojsku austriackim czasami trafiała na oficera-Polaka, rzadko, ale trafiała, który mówił po polsku i czasami uświadamiał, dał książkę albo gazetę polską. Były takie wypadki. Duży na pewno wpływ miało Wojsko Polskie, oczywiście Legiony – jeśli ktoś był w tych Legionach. I szkoła, która pozwalała się wydostać ze wsi. Ktoś został księdzem albo nawet nie skończył seminarium, ale miał wykształcenie pewne, prowadził coś, zaczepiał się o coś, na przykład został pisarzem gminnym, to już mu dawało jakieś utrzymanie. I wtedy pomagał rodzinie albo najbliższym w kształceniu dalszym. A z tym kształceniem przychodziła oczywiście pełna świadomość narodowa.

M. Łuczewski: *A wojna?*

Z.T. Wierzbicki: W czasie niemieckim wieś był solidarna w tym sensie, że można było polskie gazetki czytać głośno. Siedział sobie taki na przyzbie chałupy i tę gazetkę tajną czytał. Była też szkoła tajna, gimnazjum tajne, nauczyciele zorganizowali i tam chodziło bardzo dużo dzieci – nikt tego nie wydał. Podczas okupacji w Żmiącej ci wszyscy nauczyciele, którzy wrócili z miasta – pochodzili z miasta (to znaczy pochodzili ze Żmiącej, ale wrócili do Żmiącej, bo szkoły były pozamykane w mieście) – to bezpłatnie uczyli, tworzyli komplety. Przecież to wszystko, ta szkoła to była na „Bóg zapłać”. A to było na dużą skalę. Oczywiście, to była nauka z dziurami, różnymi lukami, nie była systematyczna, ale jakaś nauka była. I oni po wojnie skorzystali z tego. Jedni poszli od razu do szkół wyższych, oczywiście można mieć zastrzeżenia co do ich wykształcenia. Może to nie była inteligencja w pełnym tego słowa rozumieniu, ale niektórzy byli zdolni, to oni się doksztalili, uzupełnili braki. Taki P. z małego gospodarstwa przy gościńcu miał kilka klas szkoły podstawowej, a jego syn jest dobrym inżynierem w Warszawie. Zdolny, bardzo inteligentny, skończył uniwersytet. A ojciec to był bardzo piękny przykład właśnie człowieka, takiego chłopca, nie tylko zewnątrz w postawie, piękna twarz, ładna,

ale w tym podejściu szlachetnym bardzo, obiektywnym, sprawiedliwym, miał zrozumienie dla piękna przyrody. A już jego żona – tam wiele było takiej niechęci czy zawiści do innych ludzi. To już był inny typ psychiczny. Tak że bardzo różnie to się wszystko układa. W każdym razie te dzieci się kształciły dzięki szkole. Wyszli w świat z tych małych bardzo gospodarstw, gdzie na pewno ciężko było. Tam przy plebani została jedna siostra, zresztą bardzo rozsądna taka, do dzisiaj chyba tam gospodaruje. Bardzo taka rozsądna, warto porozmawiać, tak.

M. Łuczewski: *A jaki wpływ wywarł PRL?*

Z.T. Wierzbicki: Niewątpliwie PRL świadomie, celowo rozbudzał klasowe antagonizmy. Pojawiły się one jeszcze podczas wojny. Musi pan wiedzieć, że ludzie mieli różne do siebie pretensje, bo to była też taka trudna sprawa. Niemcy nazaczyli jednego z najbogatszych gospodarzy sołtysem. Jak był sołtysem, to mu kazali dać dostawy – był odpowiedzialny za to – i wyznaczać ludzi na roboty. A na roboty, to on wolał dawać nie z dużego gospodarstwa, tylko z małego, bo przecież ci z małego przy gościńcu nic nie robią, bo nie mają gospodarstwa. Ale jak ich wyznaczał, to oni uciekali oczywiście do wąwozu (jak Niemcy tam nadchodzili) albo do lasu, ale mieli pretensje, że: jak to, że on się kierował naciskiem Niemców, że ma dostarczyć bezrolnych czy małorolnych, a nie z dużych gospodarstw? Ale jak on tak robił, to była nienawiść do niego, oczywiście, że on ich wyznacza. Czemu on nie wyznacza z dużych gospodarstw? Więc antagonizm klasowy oczywiście istniał i ten antagonizm klasowy się krzyżował ze sprawami narodowościowymi. On się krzyżował, bo jednak często ta klasowość jednak była, nie można powiedzieć antypolska, to nie, ale była silniejsza niż względy jakieś narodowościowe czy etniczne, czy solidarnościowe. Ale wieś pozostała solidarna. Owszem, byli solidarni. Ale po wojnie, w PRL-u została ta niechęć klasowa rozbudzona przez przypomnienie prawdziwych lub urojonych krzywd gospodarczych, bo to właśnie: że ten duży gospodarz za mało zapłacił albo, jak to się mówi, za jedne „Bóg zapłać” trzeba było pracować. A ten duży znów mówił, że przecież dawał za pracę utrzymanie i konie albo coś do obróbki. To są sprawy nie do rozstrzygnięcia właściwie. Ale nowy system rozbudził te antagonizmy w bardzo małym stopniu, w moim przekonaniu. Przeważało poczucie jednak solidarności, przeważało poczucie „sąsiedzko-rodzinne”, tak można powiedzieć, nie „solidarności”, było też uczucie związania z Kościołem, co bardzo wtedy zwalczano.

Był tam taki W., który w ogóle był blagierem, lubił fantazjować, opowiadał wspaniale, był doskonałym aktorem w teatrze amatorskim, który był tam w Żmiącej w dwudziestolecie zorganizowany, prowadzony przez organizację jakąś katolicką czy przez szkołę, przez nauczycielkę jakąś. I się tam wyżywał w tym teatrze i opowiadał, oczywiście, z przejęciem, prawda, jak on tam występował, a przecież te sztuki były zawsze podszyte tak lub inaczej jakimś uczuciem patriotycznym.

Ale jednocześnie jak przysłała PRL i ofiarowała chłopom ziemię na Ziemiach Zachodnich, to on mówił: „gdzie to! jaka sprawiedliwość! gdzie by to było tak, żeby chłop dostawał ziemię tyle, ile chciał!” Ale sam nie pojechał, żeby wziąć gospodarstwo. On wolał siedzieć w tej małej chałupce, gnieździć się tam i mieć pretensje naokoło, i pracować jako wyrobnik, a nie miał tyle siły i zmysłu gospodarczego, żeby objąć duże gospodarstwo, pojechać na Ziemię Zachodnie i wziąć pięć, sześć hektarów. On chwalił: „co to jest, kto by pomyślał przed wojną, że chłop może dostać tyle ziemi, ile chce!”. Ale on nie pojechał. „A czemu pan nie pojechał? – Ee to, to tam...”

M. Łuczewski: *Jak Pan patrzy po latach na Żmiącę?*

Z.T. Wierzbicki: Dużo, dużo wartościowych ludzi tam spotkałem. Chłopi o gospodarstwa muszą dbać, bo to są fabryki, które działają dwadzieścia cztery godziny na dobę. To jest ich jeden interes, jedyne źródło stabilizacji i utrzymania dzieci. Więc oczywiście egoizm się u nich w jakiś sposób przejawia, no ale on występuje w mieście również, tylko w innej skali i w innym zakresie, w innych dziedzinach. Ale najpiękniejsza jest ich solidarność. Tam był na przykład taki przypadek u „Siwego”, tam w górze, numer 41. Tam gdzie jest teraz nowy gospodarz, który przyszedł spoza Żmiącej, Nowak się nazywa, bardzo dobry gospodarz, bardzo światły, przed pierwszą wojną światową był gospodarz, który wygrał w procesie od sąsiada kawałek gruntu. Ja już nie pamiętam, ile to było, czy jedna morga czy dwie. No, ale pan sobie zdaje sprawę, co to jest morga czy dwie na wsi, w takim terenie w dodatku. I on przed śmiercią kazał zwrócić ten grunt. Miał wyrok sądowy, ale kazał zwrócić ten grunt, bo uznał, że niesprawiedliwie mu to przyznano, a chce z czystym sumieniem stanąć przed Bogiem. Taki przypadek. Ale jednocześnie już w dwudziestoleciu, w II Rzeczypospolitej pan ma taki przypadek sporu o czary, prawda. Sporu między dwoma rodzinami o czary. W jednym z gospodarstw było ginęło kolejno, bydło, świnię. Pomór. Choroba była jakaś po prostu. Ale znachor w Laskowej, do którego pojechali, powiedział, że zobaczył, że to inny gospodarz zauroczył bydło. Przechodził przez pole i rzucił urok. No i wielki cały spór, jednocześnie humorystyczny i dramatyczny, ale w każdym razie przed śmiercią się pogodzili. Przyszedł ksiądz i mówił, że tak, że przed śmiercią się pogodzili. I już rodziny do siebie pretensji nie miały. Albo jeszcze charakterystyczny przypadek. Jak była prymicja księdza z rodziny partyzanckiej, to taki był zwyczaj, że się wszystkich zapraszało na prymicję. Robiło się, prawda, wielki, wielki transparent „Witamy naszego Rodaka”. Był nasz rodak, ksiądz. I oni zaprosili syna tego, który wydał. Zaprosili go. I ten się zdziwił, powiedział, powiedział mimo woli: „to mnie też zapraszacie?”. Przecież on wiedział, że ojciec jego wydał tych chłopaków. Tak więc to wyglądało.

Ma Pan jeszcze jakieś pytania?

Komentarz do wywiadu Michała Łuczewskiego

Nie pamiętam dokładnie, kiedy przeprowadziłem wywiad z profesorem Zbigniewem Wierzbickim. Zabrakło mi jakoś jego sumienności. Nigdy nie myślałem zresztą, że kiedykolwiek naszą rozmowę opublikuję. Rozmawialiśmy wielokrotnie, ale wywiad musiałem nagrać gdzieś około roku 2003. Odwołujemy się bowiem do śmierci Anny Oleksy, długoletniej kierowniczkii szkoły w Żmiącej. Za każdym razem Wierzbicki onieśmiałał mnie swoim warszatem badawczym: zebranymi pamiętnikami, listami, obliczeniami, pamięcią do numerów domów, nazwisk, nazw osiedli, a przede wszystkim – głębokimi relacjami z ludźmi, które przetrwały całe życie. Kiedy z nim rozmawiałem, był trochę zniecierpliwiony. Upewniał się co jakiś czas, czy mam jeszcze jakieś pytania. A ja miałem ich mnóstwo. Dawał mi wskazówki: co powinienem wiedzieć o rodzinach mnie goszczących, jakie są tajemnice wsi, a co powinienem zachować tylko dla siebie. Dlatego publikując ten wywiad, nie wiem, czy nie łamię dyskrekcji, którą on jako badacz się wyróżniał. Ale może warto ją złamać, żeby oddać jego styl.

Przyjeżdżając do Żmiącej, szukałem tematu, którym mógłbym się zająć. Nie mogłem przecież zająć się wszystkim, tak jak zrobił to Wierzbicki. Pracę musiałem skończyć w cztery lata kapitalizmu, a nie w dekadę komunizmu. I bardzo szybko pomyślałem, że mógłbym opisać właśnie Wierzbickiego, pamięć o nim, o Bujaku i innych socjologach, którzy Żmiącą odwiedzili. (Jeden z nich zakochał się nawet w Zofii Oleksy, jednej z pierwszych żmiąckich inteligentek, i pisał do niej romantyczne listy). Na przykładzie małej podgórskiej wsi mógłbym opisać proces akulturacji polskiej socjologii. Miałem wrażenie, że ci twardzi chłopci mniej się boją badań socjologicznych niż polska inteligencja i sami socjologowie, których też badałem przy innych okazjach. Sto lat badań – tego nie przeżyła żadna inna społeczność. Jerzy Szacki wydał „Sto lat socjologii polskiej” z punktu widzenia socjologów, a ja mógłbym wydać „Sto lat socjologii polskiej” z punktu widzenia chłopów. Swojego pomysłu jednak nie zrealizowałem i może już go nie zrealizuję, ale chciałbym zacytować kilka świadectw, które dadzą ogólny pogląd na to, jak Wierzbickiego odbierali mieszkańcy.

Za Wierzbickim ciągnęła się legenda, a właściwie legendy: „Niektórzy go szanowali – wspominała jedna z gospodyń – a niektórzy byli oburzeni, że ich opisuje. Jak opisał źle, no to pewno, że ktoś miał pretensje. A niektórzy są zadowoleni, że Żmiąca jest słynna, tak że nie można tak całkiem go potępiać”. Wierzbickiemu zarzucano niekiedy, że był zbyt dociekliwy, że wszystko zapisywał, że ludzie chcieli mieć spokój, a on co i rusz pytał ich o przysłowia, powiedzonka, wierszyki, że dopytywał się o kredyty, a jak gospodarz nie chciał mu powiedzieć, pytał się sąsiada. Czasem gdy widzieli, że się zbliża, zamykali się w domu i udawali, że ich nie ma, by uniknąć kolejnej niekończącej się pogwarki. Dość powszechnym zarzutem wobec

niego była łatwowierność. Na przykład w rozdziale o magii miał opisać przypadek wiary w topielca, która stanowiła relikwiarz dawnych wierzeń magicznych. Jedną z najstarszych gospodyń wspominała, jak chłopcy przy potoku urządzili zasadzkę na dziewczyny. Kiedy przechodziły kładką, naraz zaczęła się trząść, dudnić, tak jakby ktoś, a raczej coś pod nią się ruszało. Dziewczyny się przestraszyły, chwyciły za kamienie i rzuciły w ciemność. I nic. „To coś nie ucieka, nic go nie boli, nie wrzeszczy”. Przerażone wróciły pędem do domów. „Opowiedzieli z tego, że na potoku straszy, a chłopcy się śmiali, i potem się wydało, i ktoś to później podał Wierzbickiemu, i Wierzbicki opisał w książce. A to sama młodzież zrobiła kawał, tak. No i tak samo ja do tego mówię, żeby głupot nie pisać, bo później by ktoś wspominał źle”. A książka – narzekali – została już wydana i nic nie można zmienić. Nie rozumiano, że właśnie zapisywanie „głupocin” pozwalało Wierzbickiemu wchodzić w teren, a on – tak jak wspominały osoby dobrze go znające – każdą informację na różne sposoby wielokrotnie sprawdzał. Niekiedy zarzuty miały charakter humorystyczny. Jedną z moich ukochanych babć skarżyła się na Wierzbickiego, że napisał, że „najładniejsze są dziewczyny od Sośnioka”. Choć nigdzie takiego fragmentu nie znalazłem, mogłem babcię zapewnić, że uważam, że najładniejsze dziewczyny są właśnie w jej gospodarstwie.

Najsłynniejsza była historia o wyprawie Wierzbickiego na baciarkę, czyli na wiejskie zaloty. Słyszałem ją w wielu wersjach. Oto jedna z nich: „Wierzbicki tak chodził, a najlepiej chciał nagrać takich młodych, żeby jak to jest podchodzą, jak się żenią, jak się zalecają. No i tam se z mówił jeden dom, w górze, tam były dziewczyny, i chłopaki, że tam przyjdą, i on też przyjdzie. A czy on był żonaty, czy kawaler, to tego nie wiem. Tylko był tam też po studiach facet i mówi tak: on będzie nas tu opisywał, co my rozmawiamy, jak się dogadujemy – nie ma sprawy. On przyszedł, puka do drzwi, a chłopcy z drugiej strony wyszli drzwiami i Wierzbickiego przegonili”. W bardziej rozbudowanych wersjach Wierzbicki miał przestraszony wpaść do gnojówki albo wejść na drzewo ze strachu przed gospodarzem, który chronił swoje córki przed natrętem, i tłumaczył się z wysokości, żeby go nie bić, bo jest na baciarce. Wszystkich ta opowieść bardzo bawiła. Przerażony profesor na drzewie przestał przepytывать innych, a stał się obiektem przepytывania wściekłego ojca.

W większości jednak ludzie wspominali go bardzo dobrze. *Żmijca...* Wierzbickiego traktowana jest jako rodzinny skarb, a kiedy tylko pojawia się na Allegro, miejscowi pasjonaci muszą stoczyć ze mną epicką walkę, żeby ją zdobyć. Wierzbicki stopił się z wsią. Robił to, co robiła wieś. Angażował się z chęcią w prace polowe – „Dobrze Wierzbickiemu wychodziły te prace? – Wszystko porządnie, wszystko pomagał!” – odpowiedziała mi gospodyni z uznaniem dla umiejętności i zaangażowania mieszczucha. Jego gotowość do pomocy, zwłaszcza najbiedniejszym, głęboko zapadła ludziom w pamięć. Co prawda po latach trochę się z tej gotowości

śmiano. Bo kiedy wieś już się wzbogaciła, a Wierzbicki nadal wysyłał jakieś stare rzeczy, ludzie nie wiedzieli, co z nimi robić, a zwrócić mu – jakoś nie wypadało. Znana była jego pomoc szkole, poszczególnym ludziom, przyjacielom, ponoć miał się także przyczynić do elektryfikacji wsi, która nie była elektryfikowana do 1968 roku jako wieś „bandycka”, gdyż w latach pięćdziesiątych dawała schronienie partyzantce antykomunistycznej. Myślę, że Wierzbicki był związany z tą antykomunistyczną częścią wsi, a jego książka trzymająca się bardzo blisko empirii miała wydźwięk opozycyjny: nie korzystał on z metodologii marksistowskiej i cytował wypowiedzi chłopów, którzy twierdzili, że przed wojną było lepiej, a także publikował dane, które pokazywały ubóstwo wsi za PRL-u. Nie miał z tego powodu poważnych nieprzyjemności, gdyż starał się, żeby książka wydana w małym nakładzie nie dotarła do miejscowych dygnitarzy partyjnych.

Ostatnimi laty Wierzbicki pojawiał się w *Żmiącej* coraz rzadziej. A jeśli się pojawiał, to nie jako badacz, ale ktoś, kto wiedziony nostalgią, wraca do swojej młodości – do dawnych miejsc i dawnych przyjaciół. Widział się z księdzem Józefem Trelą, którego wiedza na temat *Żmiącej* daleko wykroczyła poza wiedzę wszystkich socjologów razem wziętych, czy Heleną Bukowiec „Od Jacków”, która była więziona w stalinowskim więzieniu za pomoc „bandom”, tj. swojemu bratu i kuzynowi zabitych przez UB. Ostatnim jego tekstem poświęconym *Żmiącej* był szkic „W pewnej małej, cichej wiosce – w polskiej Wandei? Szkic historyczno-socjologiczny” dotyczący partyzantki antykomunistycznej, który wydał w 2013 roku równo pół wieku po publikacji *Żmiącej*... W ten sposób ostatni rozdział jego książki, który nie mógł ukazać się z oczywistych względów za czasów komunistycznych, został ukończony.

Jedno ze wspomnień z tego ostatniego okresu: „Ale ja widziałam go ostatnio... Tu był taki stary domek, w tym miejscu. Po drugiej stronie był drugi, też taki stary domek. I jak my tu przyszli, dobudowali się, tamten domek rozwalili. To stał tam taki dziaduś na ścieżce, i tak się rozglądał, nie wiedział nawet gdzie jest, nie mógł poznać terenu. Bo tych starych chałupek już nie było. A ja zainteresowałam się – co to za gościu? Ale poszedł tam, do pani Tokarzowej. I później mi mówili, że to był właśnie Wierzbicki. On parę lat tu nie był”.

Na koniec zacytuję moją rozmowę (znów nie zapisałem, z jakiego czasu) z wieloletnim współpracownikiem Wierzbickiego, miejscowym nauczycielem, Franciszkiem Oleksym, który pochodził z jednego z najbiedniejszych *żmiąckich* gospodarstw:

– Nie miał pojęcia o żeniacze, tak do mnie godał. „Nie mam pojęcia. Jakbym ja z drugim człowiekiem mógł żyć, jak ja sam nie mogę dać rady”. To był człowiek bardzo na poziomie, zagrzebany w te książki mocno. [...] No to ja mu to zbiram

te materiały różne, wykształcenie, czy później rody, czy jakieś tego, w domu albo coś... To już ludzie mówili „UB czy co?” – nie chcieli gadać.

– Tak?

– No bo się bali. Ale tak, to bardzo na poziomie człowiek, bardzo. Wróg pijaństwa.

– No, pierwszy.

– Wróg pijaństwa.

– Z Wierzbickim się przyjaźniliście?

– Oj bardzo. Bardzo dużo. Trzynaście lat mu zbierałem materiały do tej... *Zmijącej pół wieku później*, się ludzie bali, że bujam, zem UB, niektórzy nie chcieli nawet rozmawiać.

– Jak się bali, że Pan – z UB, jak przecież wiadomo było, że religijny...?

– Że wiadomości [noszę] do UB.

– Ale przecież jak Pana prześladowali w szkole, to nie wiedzieli?

– A bo [...] prześladowanie to mogli wiedzieć tylko nauczyciele, co ze mną pracowali. A kto tam taki, powiedzmy, czy kto wie, co ze mną UB, czy wzywał, czy co ze mną robił.

– A co Wierzbicki wtedy tak opowiadał [...]. O czym na przykład sobie tak rozmawialiście?

– O czym... On się jakoś tak przedstawił, bo do Pani Oleksówny, że on jest naczelnym redaktorem „Zdrowie i Trzeźwość”, bo to był wróg alkoholu. Za to mi zaczął gdzieś opowiadać i jakoś tak myśmy się rozgadali i zaprzyjaźnili. Jak to pierwszy raz to nie mam pojęcia, jak tu był w tej wsi.

– A takie przekonania polityczne to jakie on wtedy miał?

– Oj, nic. Na temat polityki nie gadał.

– Nie?

– No nie. On tylko tak te sprawy naukowe. On pisał artykuły do tego „Zdrowia i Trzeźwość”, potem przyjeżdżała jakaś pani doktor Radwańska... Dużo było tych ludzi, tak teraz nie pamiętam wszystkiego, kto to i po co przyjeżdżali.

– A tam o jakiejś swojej przeszłości to mówił?

– Czy miał brata, czy miał siostrę – nie mam pojęcia.

– Ale czy na przykład mówił o swojej przeszłości, że tam gdzieś walczył, że coś robił?

– Nie, nie, nie. Nigdy. Nigdy nic. Jemu zawracali głowę, te baby, była ta siostra tej pani Hanki Oleksówny, to nad rzekę szli, to tu... Ja się tam nie dopytywałem. Wolałem nie pytać, nie wiedzieć. Ich sprawy osobiste – co mnie to obchodzi.

– A jak się tak zgadaliście, że zaczął Pan zbierać te materiały?

– Ano bo widział, że ja uczę historii, że te książki zawsze grzebię i on mi kiedyś skrypty zaczął dawać od historii, tam z Poznania. Bo on w Poznaniu był. Dał mi.

A potem do Warszawy – matka jakiś lektorat z języka francuskiego, w Poznaniu czy w Warszawie. Tak że polityką – nie, nigdy. Byliśmy neutralni w tych sprawach. On nie był do polityki, żeby się interesować. On walczył o trzeźwość: gdzie wesele, ile wódki, ile wódki sprzedano w sklepie, żeby rachunek gdzieś oglądnać, takie coś, to bardzo był pedantem pod tym względem. On na temat trzeźwości – bardzo.

– A ludzie jak do niego podchodzili?

– Życzliwie. Nie bali się, początkowo. Tylko jak już te lata mijały, że tak długo pytał i pytał, to już nie chcieli niektórzy gadać. To już było za dużo. Takie [że się pytał] co dziecko wie... Ja miałem w szkole niekiedy [matki] oburzone [jak się pytał] ile łyżek zjadłeś jedzenia? Takie głupociny się pytał. O coś się wycierał, jak się umył? Nie gadał mądrze.

– A to tak o Wierzbickim mówili?

– No, o Wierzbickim. Tak się pytał. I to się uprzykrzyło. Takie niektóre rzeczy... Jemu to potrzebne było – jakie zmiany zachodzą.

– Bo Wierzbicki miał ciężki okres na początku, bo ludzie tak różnie na niego patrzyli?

– Bo to UB było. Kto to widział, co to.

– Słyszał Pan o tej baciarcie, co Wierzbicki poszedł na tę baciarkę? Tam jest w książce wzmianka.

– Tak?

[...]

– A pamięta Pan jeszcze jakieś takie opowiadki o Wierzbickim, co ludziska tam gadali o nim?

– Głupocin nie było żadnych o nim, bo on w życiu nie puścił pustego słowa. To nie można powiedzieć, żeby na temat jego były jakieś takie powiadki głupie. To był człowiek na poziomie, wykształcony, on nie puścił... Każde słowo czegoś trzeba było się dobrze zastanowić zanim powiedział. To nie był człowiek lekkiego gadania. Ludzie czasami tak mówią, że on wszystko zapisywał, to, co mu ktoś tam... To odrobinę. Wszystko notował. No przecież trzynaście lat pracował. Tu trzeba było włożyć, to czy tam, to nie jest taki artykuł do gazety.

– Ludzie byli zainteresowani tą książką w Żmijęcej? Czy to było dla nich takie...?

– Nie powiedziałbym. Byli tacy, którzy z wielką czcią to przyjęli. Ale to byli ludzie–wyjątki. Niektórzy [uważali], że to było zupełnie nie na poziomie i nie rozumieli tego. „Bajdurzy”.

– A to kto z taką czcią przyjmował?

– Z wielką czcią, na przykład, Augustyn Jadwiga, ta artystka. Ona tym obrazom, temu malarstwu poświęciła się ciałem i duszą. Za nikogo się nie wydała, ino maluje i tym się rozkoszuje. To jest wielka artystka, tak. Tylko niedokończona. Jak była na studiach na Akademii Sztuk Pięknych we Wrocławiu i matka: o Jezu, jaka bieda, nie

ma na Jadwigę, nie ma posłać grosza. Ostatnią krowę sprzedajcie i dajcie dziecku, niech się uczy! Niech kończy. Tak zrobiła matka. [...] Ona ma skończone chyba dwa lata albo trzy. Ale to był talent! Ojciec kościoły budował, ołtarz tu, w kościele, wszystko. Człowiek, który nie miał skończone nic, a tak potrafił, tego, rozumowo to zrobić. [...] [A ja] kończyłem tą historię dzięki profesorowi Wierzbickiemu. Bo nie miałem warunków żeby kupić sobie skrypt, żeby mieć, tego... Bo człowiek zarabiał grosze po wojnie. A on mi przysyłał i pomagał.

Kiedy po raz pierwszy przyjechałem do Żmiącej, niektórzy pytali, czy nie jestem synem Wierzbickiego. To wydawało się naturalne: dynastia polskich socjologów, którzy z pokolenia na pokolenie badają wieś. Odpowiadałem, że synem nie jestem, ale potem odkrywałem, że nasze drogi dziwnie się ponad tym półwiekiem łączyły. Od początku trafiałem do tych samych gospodarstw, co on. I myślę, że dlatego, że przetaił dla mnie szlak, pozostawił po sobie dobrą pamięć i dobre o polskich socjologach wspomnienie, na którym mogłem budować. Tak jak on trafiłem na Kowalówkę, do Pasionka na Oślaku, do Urygi, do Siwego. Podobnie kończyliśmy też naszą pracę badawczą. Jego żmięccy przyjaciele zarzucali mu, że zapomni o Żmiącej, kiedy wyjedzie na stypendium do Francji, po pół wieku – moi przyjaciele z kolejnego pokolenia z tych samych rodzin martwili się, że zapomnę o nich, kiedy wyjadę na stypendium do USA. Nie zapomnieliśmy.